Mira Łuksza

Wiersze spod lasu

Redakcja: *Dagmara Widanow-Murawska*

Grafiki: *Radosław Macijewicz*

Skład: *Adam Pawłowski*

Okładka:
Radosław Macijewicz

Wydawca: *Biała Wieża*



ISBN: 978-83-955732-1-7

Tom powstał dzięki stypendium Prezydenta Miasta
Białegostoku za rok 2019

Białystok 2019

Droga

To nie ja przechodzę przez drogę.
To droga przechodzi przeze mnie.
Droga przecina los i las mój i twojej prababki,
co pieszo chodziła na rynek do Grodna.
Ty stoisz na niej, nie pamiętając,
że już ciebie tu nie ma od trzydziestego pierwszego grudnia,
a w naszej pamięci został twój rubaszny śmiech
i wiersze, które kazałeś zapisywać w nocy
na łączach widocznych tylko zawstydzonym aniołom.

Hore

gorzała sosna
czy ona miała
barwy narodowe
na swoich drzewcach

mogła być domem
cembrowiną studni
kołyską
stołem
trumną

zginęło na wojnie
drzewo
rozstrzelane rykoszetem
za człowieka

zmarł koń wojownika
i koń w gnojankach
co przemierzał pole
bruzda za bruzdą

zaorani historią

pokłoniły się lasowi sztachety
słup znów zapuścił korzenie

jak dwie krople

ojczyzna zwielokrotniona
w lustrach kałuż i nieb
soczewkach rosy
i dżdżu
w łzie
spływającej po policzku dziecka
i zmarszczce
w kropli
na szybie
okna otwartego
na oścież
oj czystej

Eliza

Mogiły powstańców trawą zarastają,
Gdzie smutni ludzie tutejszego kraju
Miłość do ojczyzny w sercach swych chowają,
A Niemen nie zasypia pośród brzegów w maju.
Na grodzieńskich ulicach, gdzie cisza i tłumy,
Idziesz, szara pani, w jesiennej zadumie,
Liście szeleszczą jak słowa w ich liściastym szumie,
W listach do Franciszka, coście nie podarli,
Aby po tutejszemu także wam odparli:
„Mówmy w swoim języku, byśmy nie pomarli".
Nawet jeśli pętla czy nóż jest na gardle.
Twoja parasolka kolorowa stuka
W serca, w mur historii, po wyziębłym bruku.
I jak wczoraj Was słyszę, Elizo, Wincuku.
Kastusiu, Wiktorze, Romualdzie... Wnuku.

Odkrycie

odkrywa się noc
pomiędzy chlebem i wodą
starą drogą
przekraczającą granice
cicho dotyka żywej skóry rzeki
jak moją dłonią

Adkryćcio

adkryvajecca noč
pamiž chlebam i vadoj
staroj darohaj
što pierasiakaje miežy
cicha kranaje žyvuju skuru raki
jak majoj dałońniu

Chleb

weź chleb
na liściach słowa
upieczony

i nie będziesz mieć
więcej bółu
niż zniesiesz
bo wezmę go na ręce

będziesz syty i wolny
daję ci słowo
tej co sieje
leczy
i piecze

Chleb

vaźmi chleb
na liści słova
spiečany

i nie budzieš mieć
bolš bolu
čym pieraniasieš
bo vaźmu jaho na ruki

budzieš syty i volny
daju tabie słova
taje što sieje
lečyć
i piače

Echo

powtarza
słowa
spod puszczy

z gęstwy
znaczeń
i milczeń

nas mnogość
słów
i niewymówień

ja echo
moich prabab

bab bab bab bab

Recha

paŭtaraje
słova z-pad puščy

z huščy
słoŭ
i nievymoŭja

ja recha
maich prabab

bab bab bab bab

Korzeń

z korzenia wychodzę
do korzenia wracam
w słowie listowia
ja

Korań

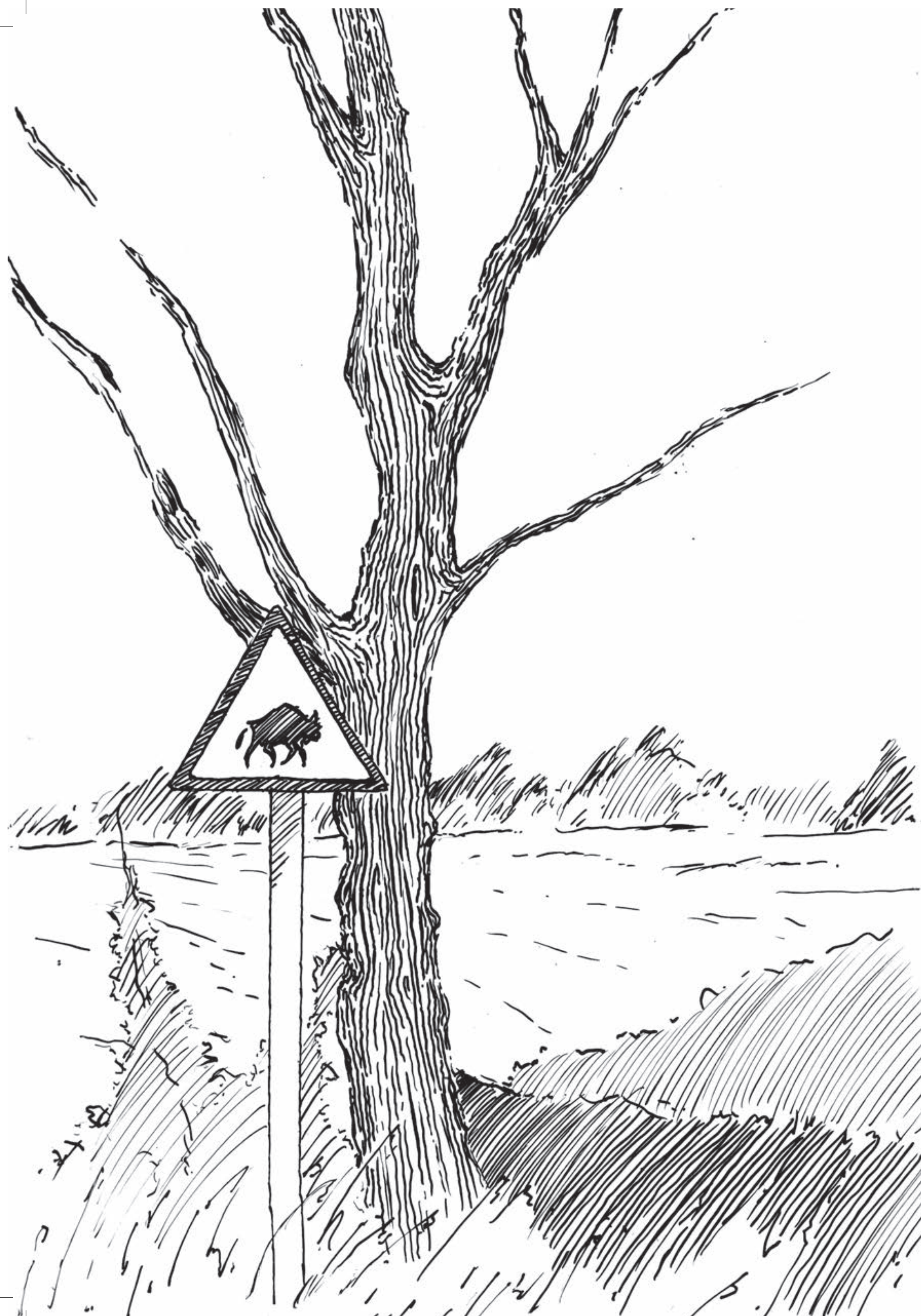
z korania vychodžu
u koruń viartajusia
ŭ słovie listoŭja
ja

Gałązka

ptaszku maluśki
mnie pohuśtaj
na witce-łukszy

Halinka

ptuška
mianie pahuškaj
na vitcy-łukšy



Za Gnilcem

Nad rzeczką Jabłyniówką, za Gnilcem, co w jezioro
się rozlewa, na zapomnianym chutorze, skąd
Szerszunowicze w świat się rozjechali, rosną stare drzewa.
Jabłonie wciąż dają owoc, choć marny, ale się starają
pamiętać o tych, co je posadzili. Alexander Palieski
brodzi po pas w trawie, pokazuje dawne. Żywe, powiada, to
wszystko, bo rośnie. I wystarczy z Kanady czy też z innej
bajki trafić tutaj do siebie, by ono ożyło. I ja się
zająknę, jak Aleks, ze wzruszenia, bo to wszystko moje.

Za Hnilcom

Rad račułkaj Jabłynioŭkaj, za Hnilcom, što ŭ voziera
razlivajecca, na zabytym chutary, adkul
Šaršunovičy ŭ śviet razjechalisia, rastuć staryja drevy.
Jabłyni ŭsio dajuć płod, choć marny, ale ž starajucca
pamiatać ab tych, što ich pasadzili. Alaksandar Palieski
brodzić pa pojas u travie, pakazvaje daŭniaje. Žyvoje, kaža,
heta ŭsio, bo ž raście. I chopić z Kanady ci z inšaje
kazki trapić siudy da siabie, kab jano ažyło. I ja
zaiknusia, jak Aleks, ad chvalavańnia, bo tut usio majo.

W Mikłaszewie

Śni się
jak Eugeniusz
sam wojskowy w końcu pokojowej Europy
chodzi po polu mikłaszewskim
szuka kopie zakopuje
a kości przodków znów i znów
z ziemi wychodzą
w ciała się składają i patrzą
kogo jeszcze on Żenik
rzucił z ich ciała z ich kości
aby bronić ziemię
Leoniewskich
bojarów lićwińskich

U Mikłaševie

Snicca
jak Jaŭhien
sam vajenny ŭ kancy mirnaj Jeŭropy
chodzić pa mikłašeŭskim poli
šukaje kapaje zakopvaje
a kości prodkaŭ znoŭ i znoŭ
z ziamli vychodziać
u ciełу składvajucca i hladziać
kaho jašče jon Ženik
kinuŭ z ich cieła z ich kaściej
kab baranić ziamlu
Leanieŭskich
bajaraŭ lićvinskich

W stronę Tarasiewicza

Kruki jak nuty nad lasem.
Kruki nad losem kraczą.
Kruki jak znaki czasu
Nad życiem sierocym płaczą.

Rondo gościńcem piaszczystym
Od domu, do domu, w ciszy.
Z sercem dobrym i czystym
Kroczysz po czułych klawiszach.

W Sokółce jesień, dom stary czeka
I w stronę słońca okna otwiera.
Zegar zdrożony idzie od wieku.
Twój plon zebrany. Czas zły umiera.

U bok Tarasieviča

Nad lesam, jak noty, hruhany,
Nad losam karkajuć jany,
Jak znaki času, dniom i nočču,
I płačuć nad žyćciom siročym.

Haścincam ty idzieš piasčanym,
Z domu da domu, z rany ŭ ranu,
Z dobrym i čystym sercam, u cišy,
Pa čułych kročyš z im kłavišach.

U Sakołcy vosień, a dom čakaje,
Da sonca dźviery sam adčyniaje.
Niža spakojna čas razarvany
Hadzińnik vieku. Tvoj plon sabrany.

W gościnie u Michasia

Razem z Jurkiem Plutowiczem i Handzią Kondratiuk
pojechaliśmy do ciebie,
ale nie tam, gdzie cię widziano ostatnio.
Poematu nie było wśród fiszek i notatek z podróży.
Handzi zbierało się na śpiew o wesołej wdówce,
zupełnie bez sensu. Lecz tam ciebie nie było,
Tylko łagodny Jesienin na oblazłej ścianie
patrzył na troskę Jurka, Handzi oko piwne,
małżonki krzątaninę, by nas stąd wygonić.
A twoje buty wciąż warują w sieni, i kurtka
rękawy wystawia, jakbyś co z niej wyszedł.
A tam, gdzie jesteś teraz, łany kupalne
kwiatów wiecznie żywych, — nie muszę przynosić
Ci ich, kłaść na marmur, co leży na tobie.
Nie zapraszaj tam mnie, gdy idę po moście
nad nocną Hajnówką w styczniu, nie wysyłaj Gienia
Iwaniuka z Kotłówki, aby mnie tam spotkał.
Nie otwieraj archiwum, gdy wznosimy czarkę
goryczy; na drzwiach napisane, że tam — twoje wiersze,
lecz nie ma tam "Raspiaćcia"; ani słowa więcej.
Albo je otwieraj. Wtedy pamiętamy.

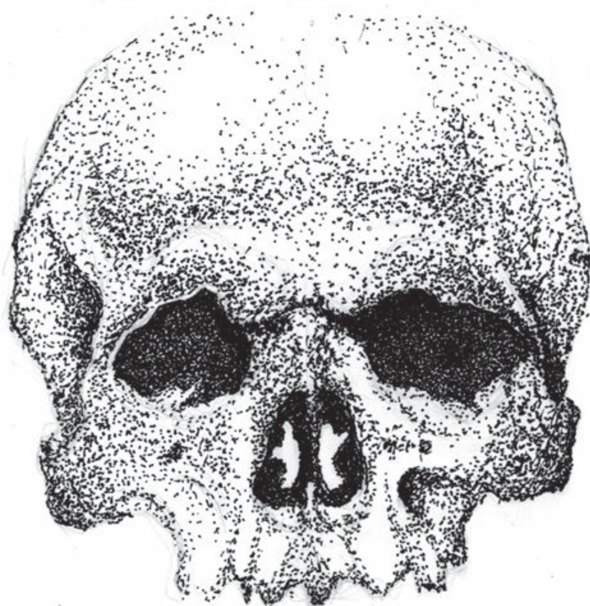
Haścina ŭ Michasia

Razam z Jurkam Plutovičam i Handziaj Kandratiuk
my da ciabie pajechali,
nie, nie tudy dzie ciabie bačyli ŭ apošni raz.
Tvajoj paemy nie znajšli siarod listkoŭ
i zapisak z padarožžaŭ.
Handzi schaciełasia śpiavać pra šelmačku ŭdavu
zusim biez składu. Ciabie tam nie sustreli.
Tolki Jesienin łahodny sa ściany ablezłaj, šeraj
sačyŭ za vokam Handzi karym. Tryvohaj Jurki
i chitrykami žonki kab čym chutčej prahnać nas z chaty.
A tvaje boty ŭsio čakajuć za paroham, i kurtka
rukavy nataparyła jak byccam ty z jaje sionńnia raspranuŭsia.
A tam dzie zaraz ty, kupalskija łuhi
ŭ viečna śviežych kraskach – nie budu
nieści ich na marmur darahi jakim ciabie nakryli.
Nie zaprašaj mianie tudy, kali idu ŭ studzieńskuju noč
pa moście-viaduku ŭ Hajnaŭcy. I Hienika Ivaniuka
nie pasyłaj kab hnaŭsia sustrač nočy
da mnie z Kutłoŭki. Nie adkryvaj
dźviarej archiva „Nivy” kali padymajem
horki pacir – tost, na ich vidnieje list
– tam zachavany tvaje vieršy. Adnak,
my nie znajšli „Raspiaćcia”,
ty prabač Michaś; a dzviery adčyniaj
tady ŭspaminajem.

Słowo zabłudowskie

Ja, Katarzyna Wiszniowiecka,
cioteczna wnuczka Konstantego Ostrogskiego,
ofiaruję monasterowi supraskiemu
Ewangelije uczitelnoje z 1569 roku,
i opatruję własnoręczną dedykacją.
„Z woli Ojca i z pomocą Syna
i ziszczeniem przez świętego Ducha
w roku od narodzenia tysiąc pięćset
i siedemdziesiątym piątym,
w jedenastym dniu miesiąca grudnia, indykcji 3.
W dniu święta ku czci ojca naszego Daniela Stylity,
ofiarowałam tę książkę zwaną Ewangelije uczitielnoje,
służebnica Boża Grzegorzowa Chodkiewiczowa,
pani wileńska, hetmanowa najwyższa Wielkiego Księstwa
Litewskiego, starościna grodzieńska i mohylewska,
księżna Katarzyna Iwanowna Wiszniowiecka,
po nieboszczyku sławnej pamięci jego miłości
panu małżonku swoim, panu wileńskim, hetmanie
najwyższym Wielkiego Księstwa Litewskiego,
staroście grodzieńskim i mohylewskim, jego miłości
panu Grzegorzu Aleksandrowiczu Chodkiewiczu
i po nieboszczyku synie swoim, jego miłości
panu Andrzeju Chodkiewiczu, podstolim
Wielkiego Księstwa Litewskiego i po drugim synie
nieboszczyku panu Aleksandrze Chodkiewiczu,
staroście grodzieńskim i mohylewskim,
do świątyni Zwiastowania Najświętszej Bogarodzicy
w posiadłości naszej supraskiej dla monasteru.

(…) A kto by tę książkę ośmielił się uzyskać
a nie zwrócić, niech będzie nań rzucona
klątwa Pierwszego Powszechnego Soboru Nicejskiego
przeciw heretykom. Amen. Wraz z książką
również Apostoł i Psałtyr z tą samą inskrypcją
ofiarowuję".
„Ja, Hrehor Chodkiewicz:
zapragnąłem, aby słowo Boże rozprzestrzeniało się, a wiedza
ludzi wyznania greckiego stawała się rozleglejsza,
ponieważ brakuje takich ksiąg w wielu rozmaitych miejscach.
I nie pożałowałem na tę sprawę darowanej mi przez Boga
fortuny, tym bardziej że znalazłem ludzi obeznanych
ze sztuką drukarską: Iwana Fiodorowicza Moskwicina
tudzież Piotra Timofiejewicza Mścisławca.
Nakazałem im, by uczynili warsztat drukarski
i wydrukowali tę księgę – Ewangelię Pouczającą,
przede wszystkim na cześć i chwałę Pana Boga
w Trójcy Jedynego, a także ku nauce ludu
chrześcijańskiego zakonu greckiego.



* * *

moje wnętrze wypala
zgorzkniałe grzechy
mego miasta wśród lasów

moje płuco odcedza
smog sadzę i dym
dla moich dzieci wnuków

mój język jak liść
wypowiada zamowy
rzuca je na wiatr

nie będę martwa
zwinięta jak stare liście
chatka dla jeży

Las

Moje drzewa
Nie samotne
rosną
          za mnie
tam
gdzie je
          posadziłam
dziecięcą garstką

Les

Maje drevy
nie ŭ samocie
rastuć
za mianie
tam
dzie ja ich
pasadziła
dziciačaj žmieńkaj

Harabinka

Urodziłam się trzynaście lat po drugiej wojnie
zeszłego stulecia, w Hajnówce,
lecz naprawdę zaczęłam przychodzić na świat
już w Bernackim Moście, nóżkami do nieba i ziemi,
co jest jakoby ważne w rozważaniach astrologów,
przed dziesiątą rano, w rodzie,
gdzie ktoś wyklął pierworodnych
i skazywał go na błąkanie po obcych ziemiach
w ucieczce przed tymi co nie chcą znać naszej mowy.
Najstarszy Dymitr pilnował podlanej potem ziemi,
choć słaniał się wśród wybuchów i nowych nowi i pełni.
Najstarsza Luba doprowadziła brata do ojczyzny z lampą w dłoni.
Mój nowy dom ominęła nowa wojna. Zapada się w glebę,
posadzony na piasku. Moje nogi brną po mojej ziemi,
po której przeganiały się armie pod różnymi krzyżami.
Jarzębina w Borowych na 277 lat wpiła się
na całe piętra w głąb mojej ojcowizny,
czerwone jagody w chmurach, harabinka,
nawet jeśli ją zetną nasi dobrzy ludzie.





Lot jak we śnie do Babiej Góry

Słowo jak energia zagina przestrzeń,
a w samochodzie dziś przelatuję drogę którą
chodziłam osiem lat do szkoły w Siemianówce,
po miedzy między Księstwem i Koroną.
Mówimy z Jurkiem Rajeckim wszystkimi językami
Podlasia, a Libor Zajiczek słucha i patrzy. Ano.
Lecimy jak we śnie przez drogę wypędzanych,
pacyfikowanych, umarłych i urodzonych,
prowadzonych do cerkwi świętego Jurego Zwycięzcy,
na cmentarz do świętego Pantaleona,
na zabawy, chrzciny, wesela, na stację, po jadło do sklepu
i książki w bibliotece, odkrywające inny świat.
Świat jest inny w każdej sekundzie, i nie wiem kiedy
skończyło się wczoraj. Tylko siwy włos
niesie wiatr babiego lata jak pajęczynę za nami.

Mijani

Kim jest ta kobieta
o profilu wtulonym w chustkę
szalinówkę, takich się dziś nie nosi,
wyjętą z kufra i pachnącej zielem bagna,
a mężczyzna w kożuszku tchnącym
zapachem dziadka Iwana tropiącego
ślady przedzimia na naszym podwórku,
z sianem na widłach, z wiadrem strawy dla świń.
Padają polana w śnieg, żelazo przywiera
do palców bez rękawiczek, mróz,
a może przytulisz swój język do języczka klamki?
A tam idzie Żorżyk, nie malutki jak kiedyś,
i wpada do wyrysowanego w pamięci rowu przy grobli,
dopływu Bujauki, gdzie rękami wybieraliśmy
ryby i raki. Mijamy się sami z nami z dzieciństwa.

Studnia

Nachylę się nad studnią,
zajrzę do siebie.
Żuraw wiadro kołysze
wysoko i śpiewa nad jabłoniami.
Dalej tłoczy krynica źródlaną wodę,
choć Łysy, co pił ją, zdmuchnąwszy
chrapami niewidoczny listek,
dawno już chodzi za niebieskim pługiem,
lekko przeorując bruzdy chmur,
a krowa Pipka z bubeczką na pysku,
co wciągała chłodną wodę zamykając oczy
pod wachlarzem cielęcych rzęs,
już pewnie dawno zjedzona, a dusza jej bryka
na niebiańskich pastwiskach pod tęczą,
po której odeszły nasze zwierzęta,
Murka, Burek, Puszek, Roza, Tećko,
Sargo, Reksio, Aza, Pusia, Asta, Fila i inne,
i czekają nas tam pod swoim lasem.
A żuraw nam wszystkim śpiewa
wysoko na wietrze, i skrzypi wiaderkiem.



* * *

Szczęk klamki o powierzchni wyślizganej
aż do ostrza przecinającego do
białego ciała żółtej kości czerwonej krwi
brzęcz dźwięku leć słowo lecz słowo
tam gdzie jeszcze ludzie chodzą ptaki śpiewają
a czarny las śpi
nie czeka
czeka
na żywych

a tamtym na zielonej łące
szczęk klamki przynosi na pamięć
szczęście
szczodre szczerobogate
rozćwierkane jak sikorka
za zimowym oknem
opatrzonym watą z bombkami

W Mieleszkach

Gwóźdź na kurhanie
wbił się w mą małą stopę
w dniu gdy stanęliśmy na Księżycu

dziecięca żywa krew
popłynęła do tych co w ziemi
czekają na nasze zmartwychwstanie

zatulałam ranę krwawnikiem
babką lancetowatą
ich żywym sokiem
łzy kapały na macierzankę
lebiodkę czarnobyl

ja – rod-na!
zadrżała Ziemia
ocalona

Sól

koło poidła dziadek sypał sól
dla cieląt grudy soli leżały
pod paśnikiem dla żubrów
próbowałam sól z moich dłoni
pachniała trzonkiem wideł
w rękach taty wiatrem
włosami kobyłki mokrym
brzozowym polanem
łzą po tych co poszli
synkiem z przyszłości

Wiązówka z Romanowa

Luba woła: Tawołha, tawołha
z wiazawym listoczkom,
patrzysz na mnie jasnym oczkiem,
i zaglądasz pod powiekę,
zbierając w swoim kwiecie
całą gorycz wieków.
Pod jej wzrokiem Luba idzie
z bieżeństwa do domu,
leworucje, prawolucje,
świat niebawem skona,
brata maleńkiego wiedzie
pod skradzioną strzechę,
w głodzie, chłodzie, w biedzie.
Gdzie prawda, gdzie grzechy?
Wie na pewno: ojcowizna
czeka, wyspa i sadzawka.
Gdzie jest zachód. Gdzie ojczyzna?
Na matuli grobie trawka.
W drzwiach przeciągi wieczne,
co z zawiasów są wyrwane.
Ta Europa – taka przestrzeń!
Wiązówki rozsiane.
Ja – jestestwo rozmnożone,
związane z korzeniem.
Matki, babcie, siostry, żony
zbitą uratują Ziemię.

Złoty ząb

Kto wyrwał złoty ząb
staremu Złotnikowi z Narewki?
Iwan nie wie, bo nie pamięta,
ma 92 lata. Dobry kawał czasu,
aby można zapomnieć o sąsiadach
prowadzonych na rzeź. Wlekli
ciepłe jeszcze pierzyny, szafki i naczynia,
ubrania z dobrej materii – bo po co im
te dobra na łonie Abrahama. To nic,
że sąsiedzi byli dobre ludzie i mówili
po naszemu. I Sprinca tam była,
pięć lat starsza od Iwana, a to nie wypada
brać za żonę starszą, w dodatku starozakonną.
Znikła, przepadła, wyblakła w pamięci,
pewnie ją spalili. W energię pamięci
zmieniła się Sprinca Złotnikówna, jej krewni, rodzice.
Pewien tego był Iwan aż do końca wieku,
gdy głos mu już stygł i bladło oko chabrowe.
Tych, powiadał Mikołaj, co w pazury chwytali
dobro ludzkie, Boża sprawiedliwość dosięgła
i dosięgnie, choćby do ich piersi przybijali ordery,
i jak psiekrwie skonają, niechby i w brzęku dzwonów.
A Sprinca, Iwanie, przeżyła. O tym już wiesz,
spotkaliście się tam, i naopowiadaliście się do woli,
o swoich dzieciach, wnukach, prawnukach, Narewce.
I wasze zdjęcia, staruszków, wiszą razem w Nowym Jorku
na stronie bezgranicznego internetu – sieci kosmicznej.

Koszarka

Droga zagina się w łuk, prowadzi na koniec świata.
Może to tylko koniec Europy, jak gadają niektórzy,
którym śni się przedmurze i panowanie oraz czapkowanie.
Kolejowe Podlasie – z wami jadę w ten dzień który czekał,
że czterej niepancerni wejdą w tę smugę światła ze swoją
aureolą bijącą z ich serc i głów na zarośnięte torowiska.
Kwitnie jak oszalała starodawna Jabłoń w Zubkach,
a między torami dziatwa z jej ziaren panoszy się biała.
Liliowy bez bez opamiętania zagląda na piętro,
wpycha się do poczekalni zawalonej gruzem.
Fotel urzędniczy się w krzakach kaliny i czarnego bzu.
Idziemy po krokach Tamary Bołdak-Janowskiej, tu w koszarce
mieszkała razem z rodzicami, chodziła do szkoły w Wierobiach.
Czekają na nią nimfy tańczące w wianeczkach,
jelenie, noc Walpurgii w ramach przeżartych szwedami.
A w szafie mundur – w sam raz do muzeum kolejnictwa,
z dokumentami w kieszeniach wzorowego nastawniczego.
Wybijmy go o drzewo! – i wytrzepujemy z munduru
pamięć o kolejarzach na trasie Białystok – Zubki Białostockie.
I chrzęszczą nam pod stopami jak majowe żuki
szkła od zdjęć, szurają kawałki gazet o starych nowinach,
a miś na dworze, z trocinowym sercem, opity deszczami i mgłami,
siedzi na straży majątku kolejowego Podlasia i Tamary Bejot.



Kłos

Łaskawy kłosie,
kołyszesz cały wszechświat.
Utul nas w ziarnach.

Rezerwat

W tym rezerwacie
nasze sny tłumaczą nam
ekologowie

Na granicy

Na tej granicy
wysokie wieże, druty
i łzy piekące.

Sadzonki

Posadziłam je –
tysiące sosen, świerków.
I stoi nasz dom.



Sen o Ojczyźnie

Idę po Placu Łukiskim sama – nie sama.
Cienie imion innych padają na moje ramiona.
Choć oczy zawiązano mi chustką – widzę.

Taki sam

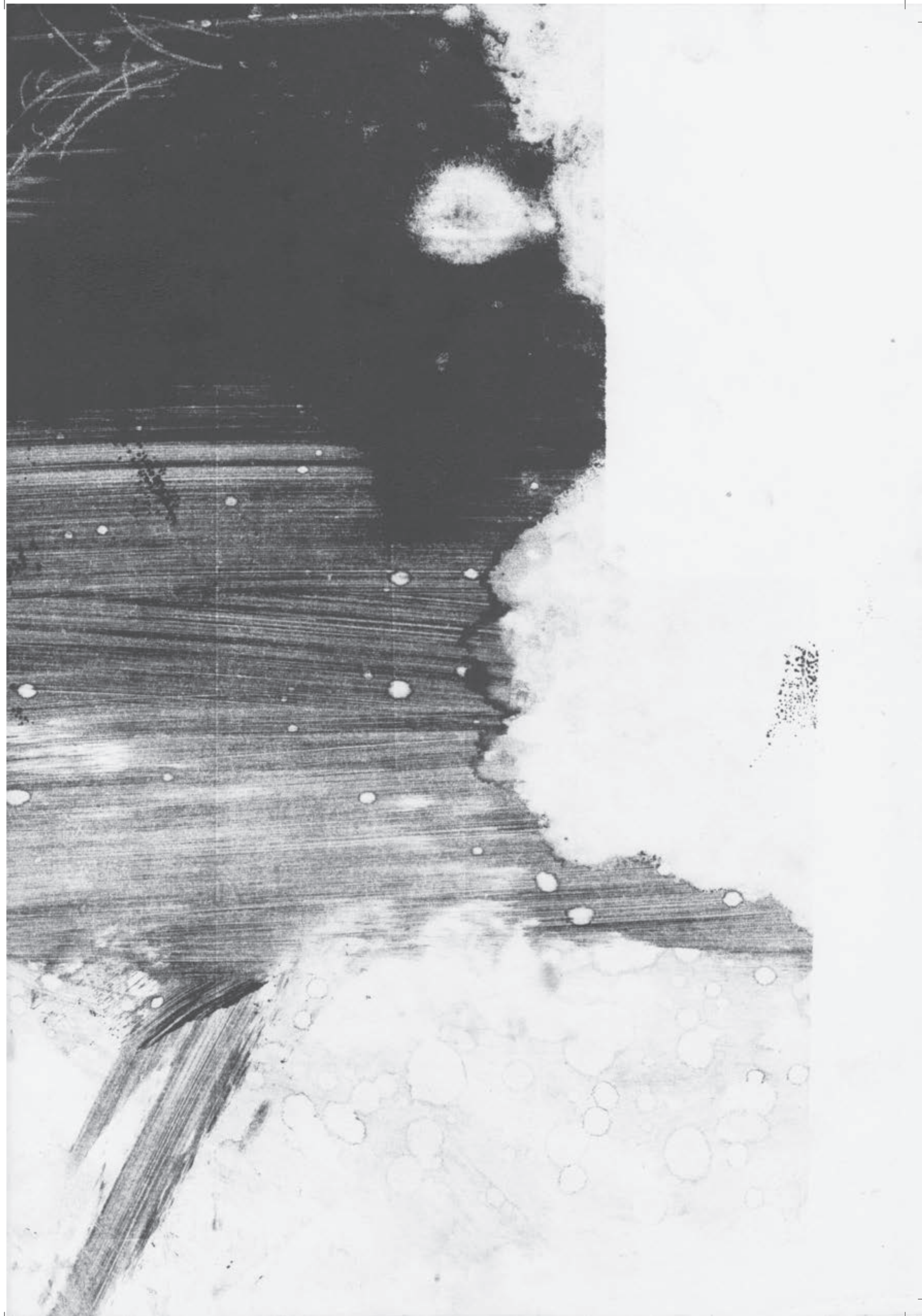
Wkładasz do szczeliny w drzwiach wytrych,
w domu który zawsze pamiętał o tobie,
myliłeś się, urodzony stąd setki kilometrów,
że w słojach jego ścian nie jest zapisany twój gen.
Wkładasz wytrych, zardzewiały drut znaleziony
pod krzakiem czarnego bzu. „Trzeba go wyciąć,
zarósł tu całe podwórko". Ale to on jest u siebie,
i zawsze był. Korzeniami sięga prabytu. Słowianie
liczą że wielki to grzech wyrywać buzinę z korzenia
czy ścinać ją jak złego człowieka siekierą, nożem lub piłą.
Czekaj tu, przyjdę do ciebie, jak przyjdą ci, którzy
odeszli, których wypędzono, wyrwano, zakłuto.
Ludzie, psy, konie, świnie, koty, cielęta... Dusze żyjące. Jak ty.
Taki sam. Wróciłeś do domu, uzbrojony w dziwny klucz.
A otworzysz go słowem. Odemkniesz. Odczynisz.
Na przestrzał rozwarty przeniknie w twoją niezależną
i należną przestrzeń. I ja tam stoję i czekam, nie przyczajona,
a wietrzna jak one i oni. Zamowa. Wierzę, że wiesz.

Okno

Otwieram okno na wschody słońca,
na byłe głębokie torfowe bagno
aż pod samą puszczę,
pod Białowież. Na groblę,
którą nasypano aż pod Babią Górę.
Unoszą mnie wonie tysiąca ziół,
najpiękniej pachnących po śmierci.
Melioracja – słowo piękne jak Tradycja,
w sam raz na imię dla dziewczynki
z Babiej Góry, Siemianówki, Pasiek czy Borowych,
a nawet Siemieniakowszczyzny,
zwanej po tutejszemu Madźwadziami.
Wyschła nawet Bujauka, dopływ Narwi,
i rowy pełnowodne z zastawkami.
Tamara, Irki, Mira, Żorż, Gienik i Krysia,
Alinka, Aloszka, Mirek, Kolik i Halina
na wyschniętym wygonie z kałużką sadzawki
uroczyście sprawiali pochowanie węża,
pogrzeb „wuża mierca”, jak z czcią rzekła Irka.
„A ty, Mierko, nie ciesz się tak na początek szkoły” –
nadmieniła. „Bo nie ma czego się cieszyć”. 1965 rok.
„Ja nie jestem Mierka, tylko Mirka!”
„Jest Wierka, może być i Mierka” – filozoficznie
westchnęła Irka Andrejuk, Maksimawa.

Klucze

Nie zamykaliśmy naszych domów na klucz.
Może tylko w zasuwkę wkładaliśmy patyczek
lub witkę cieniutką – żebyś wiedział, że gospodarz
w polu czy na łące, a tam czasu nie bawi, a robi.
Tylko jedna sąsiadka, swojaczka, zabiegała na nasze
podwórko, jak po swoje. Mówiła, że jej kury znoszą jaja
w naszych pokrzywach pod płotem, może nasze pokrzywy
były bardziej przyjazne dla jej kur? Nawet pomalowała
na szmaragdowo skrzydła kurom i przycięła pióra
na skrzydłach, aby nie zalatywały. Kury z fantazją,
latające do Mitrukowych. A nasze niosły się nawet w budce
naszego Burka, który jajo traktował z szacunkiem,
jak i samą nioskę, potem kwokę i mateczkę niezależnych
piskląt. Niezamknięta była stodoła, szopka, chlewy, obora
i stajnia. Do Łysego chodził w gości baran, Tećko kochał
kocięta Murki i niańczył jak swoje. A zamek w końcu wstawiono.
I znalazł się złodziej. Na pewno nie nasz. Nawałacz. Ale
nie miał co zabierać z chaty, to się zawiódł, nieboga.



Wybaczenie

głupi wróg ściął drzewo
myślał – zabierze je wraz z duszą
wyjechali gospodarze
porzucili miejsce
rzeczy w domu
ikonę
oczy bezgłowych drzew
świecą aby wrócili
na próg
do ikony
do pni z duszą

Ptasi szlak

Noc. Latarnie zaglądają w duszę.
Na skrzyżowaniu pięciu ulic słyszę
informację o trasie autobusu miejskiego
za kawałeczkiem łąki kwietnej, obok
wystrzyżonej do czarnej krwi porośniętej
tysiącem ziół, niedawno ćwierkającej
tysiącem głosów świerszczy i koników
naturalnej łąki między Wesołą, Waszyngtona,
Kaczorowskiego. Fotografuję telefonem
kwiaty przed dekapitacją. Wrony, kawki,
gawrony, gołębie i sroki gromadnie obsiadły
nasz wygon. Czegoś tu szukają. Ustępują nam
drogi na ziemi – ludzie biegną tu na skróty.

Nie śpię. Jedzie dwadzieścia sześć, trójka,
szesnastka, sto cztery, siedemnastka,
dziewiętnastka, dwadzieścia siedem, szóstka.
Nie śpię. Szukam ładu, porządku i prawdy
w atomie, komórce i duszy.
Ptaki widzą wyżej, szerzej, nawet te z wygonu.
A ptaki przelatujące przez świat
znają swój szlak do domu.



Pszczoły

Na farnym cmentarzu na mogile Władka Kowalewicza
w pustym wkładzie woskowym pszczoły zrobiły ul.
Obok rosły rudbekie i inne kwiaty, pozostałe groby
nie miały żywych kwiatów i woskowych domków.
Wlatuje pszczoła do domku, w plasterku woskowym, plon niemały;
czyż zmylić ją może kolorowe sztuczne kwiecie?
Żywa mogiłka Włodzimierza i Eugenii na farnym cmentarzu.
„Pszczółka z ula wylatuje, nektaru poszukuje,
do czasu, do zimy lutej co pszczółki zdziesiątkuje,
co ula nie mają, i gospodarza nie zawołają" – wzdycha
Władek pod ciężką płytą. I jak tu wstać na Sąd Ostateczny?

Katarzyna

Spada ostatni liść listopadowy
z papierówki w starym sadzie.
Idzie zima, a pod liśćmi nie zamarznie
robaczek, on potrafi na wiosnę ożyć,
nie tak jak ludzie, zerwani za gałęzi,
i przy korzeniu nie znajdą utulenia.
Katarzyna bierze w dłonie liść, list,
od wieków i drzew, i grzeje go własnym
ciepłem schowanym w swoim krwiodrzewie.
Żyłki, żyłeczki niebieskie, zielone,
złote, słoneczne, jak oczy Katarzyny,
co w glebę zajrzą, dostrzegą, zaproszą robaczka
i Człowieka odnajdą ukrytego
w listach z przeszłości i przyszłości.

Czy jestem

Czy mnie poznajecie, kiedy idę w swojej ciszy,
moje drzewa rodzinne, co rosłyście razem za mną?
W nocy kiedy idę od hałasu stacji przeładunkowej,
od okrzyków ptactwa, co znalazło swój dom
w Siemianówce? Ich zwiad szybko odnalazł
najlepsze miejsce do życia na nowo,
i osiedliły się z krzykiem o swojej wyjątkowości,
abyśmy je przywitali, tę nawołocz skrzydlatą,
podbitą ciepłym puchem, co pływa i lata,
i pieszo pójdzie, i nawet zajrzy do koryta
domowych ptaków i tutejszych zwierząt.
Siostry sosny i świerki z uroczyska Maruszka,
nawet nie pamiętam gdzie są moje miedze.
Sadził was nasz pradziad, dziad, ojciec, a brat,
nasz brat, was wycina. Gdy was nie ma,
nie ma mnie, bo na czym położę oko umęczone.
A gdzie jest mój bratanek Dąb, lat pięćdziesiąt temu
posadzony przeze mnie w naszej chwaince?
I jego przepraszam, jak Jarzębinkę,
lat sto siedemdziesiąt siedem,
że was nie upilnowałam, daję głowę
za słowo skłamane, puste i niewymówione.



Matka bieli ściany

Na „wielkiej chacie” matka bieli ściany
przed każdą Wielkanocą, wyjmuje dubeltowe okna,
z nich watę, choinkowe bombki, kieliszki z popiołem.
Całą zimę dmuchał w nie wiatr od puszczy, skowytał
za węgłami domu, co całą swą duszą stał na wschód
i przyjmował, jako pierwszy w osadzie, na swoją
drewnianą pierś całą nawałnicę. Matka do glinki
dodawała troszeczkę sińki. Taki modry kolor
lubią tutaj, inaczej mówią jeszcze „hałubowy”, gołębi.
Jak len niebieściuchny, co go piele matka,
posadziwszy mnie w szałasie, nakrywając chustką.
Oglądam kuzaczki spieszące się w swoich owadzich sprawach,
liczę plamki na kukułce stoplamce, choć liczyć
umiem tylko do trzech i „dużo”, za to umiem już czytać gazetę,
choć umiem rysować na koleinie po deszczu. A pierwszy
ołówek dostanę dopiero w szkole. Lecz umiem powiedzieć
już „Jui Gagain” i wyobrażam sobie, jak to jest polecieć w niebo
i wrócić do naszego przyziemnego domu.

Zaproście mnie do stołu

Zaproście mnie do stołu, mrówki, zapracuję na to,
by być waszą siostrą, skromną, niebogatą,
zasłużę na spyżę, podniosę co mogę,
co na moje siły wystarczy ubogie.
Starą jestem mrówką, emerytką świeżą.
Wiem, do rodu mrówek takie nie należą.
Aż do upadłego w kolektywnym trudzie
pracujecie na dom swój, w ładzie, nie jak ludzie.
Będę się trudzić w gromadzie, może, dziatwę niańczyć,
coś tam upichcę, zanucę, mogę i zatańczyć,
choć moje odnóża nie są sprawne teraz,
jedną ręką pieśń piszę, drugą się podpieram.
Do cyca nie przytulę, bo zimny jest lewy,
ale domek wasz cały schowam od ulewy,
bo jestem taka wielka, jak całe mrowisko.
Podpisuję podanie. Łuksza – me nazwisko,
a imię Mirosława – mrówka mir sławiąca.
Chcę być taka jak mrówek maleńkich tysiące.



Wezwanie

Wezwano mnie na apel
tych co powinni milczeć
przed plutonem durniów, nieuków,
zabójców, walących drzewa jak ludzi
i ludzi jak drzewa, choć słowo boże
niosą dumnie na spienionych wargach.
Cicho, mówią matki, jeszcze raz
nas stratują, zechcą wyrżnąć w pień
za inny krzyż na którym Go
sami ukrzyżowali.
Pustoszą Słowo,
Rozum,
Wiarę,
Nadzieję,
Miłość.
Ja do Lasu muszę.
Gwiżdżę na wasze apele jak kos.

Rozpostarty

A Pudlasie i Ruś Biêła,
Jak dviê sestry rôdny.
Mov odnoho członki tiêła,
Byli b zavše zhôdny.
Ale dola jich lichaja
Zdavna rozłučyła
I obom tiažki na šyju
Kameń nałožyła.

Mikoła Janczuk (1859 – 1921)

Ludzie księgi noszą swoje płonące papierowe serca
pod plecaczkami, płótnianymi torbami, zawiązane sznurkiem,
a ciasno jest słowom między żebrami, pod płótnem, na tablicach.
A języki na wietrze ogniste z ust mówiących słowa
przelatują nad granicami księstw, królestw, imperiów.
Gdzie jest twoja miedza, granica, gdy jesteś tak wielki,
że mieścisz w swym sercu bezgraniczne szlaki
ptaków i ludzi, owadów, robaczków, korzeni,
przebierasz w palcach skorupy starodawnych garnców,
gładząc literę rozsypującą się w proch,
ale ty ją zdążysz z czułością odnowić
nawet na piasku, zdeptanym nogami rodaków.`
Gdzie jest twój ród? Twój naród? Twoje narody?
Twoje żarna, kamienie nagrobne i polne
mocno trzyma grawitacja przy pulsującej Ziemi.
Patrz, matka stara jak śmierć i miłość leży na łące
w otawie, nadsłuchuje: nasza ziemia dyszy.
Spowiadają się sobie, kajają się za wszystkich.
I w takt biją razem ich stareńkie serca.

***

Hannie Kandratiuk

Handzi aranžavyja
rukavy vyrastajuć
jak kryły.
La darohaŭ raście trava,
rastuć
damy i mahiły.
Hory rastuć, jak hora,
u horach
rastuć čałavieki.
Vobraz raście ŭ słovach,
što zastyŭ
pad paviekaj.
Słovy viecier raźvieje,
navat kali
skamianiejuć,
Na kałonkach haziet,
na płakatach
u soncy zbialejuć.
Słovam skarony śviet,
śviet adkryty
nanova.
Viecier, kamień,
kryło, ziernie,
a nie pałova.

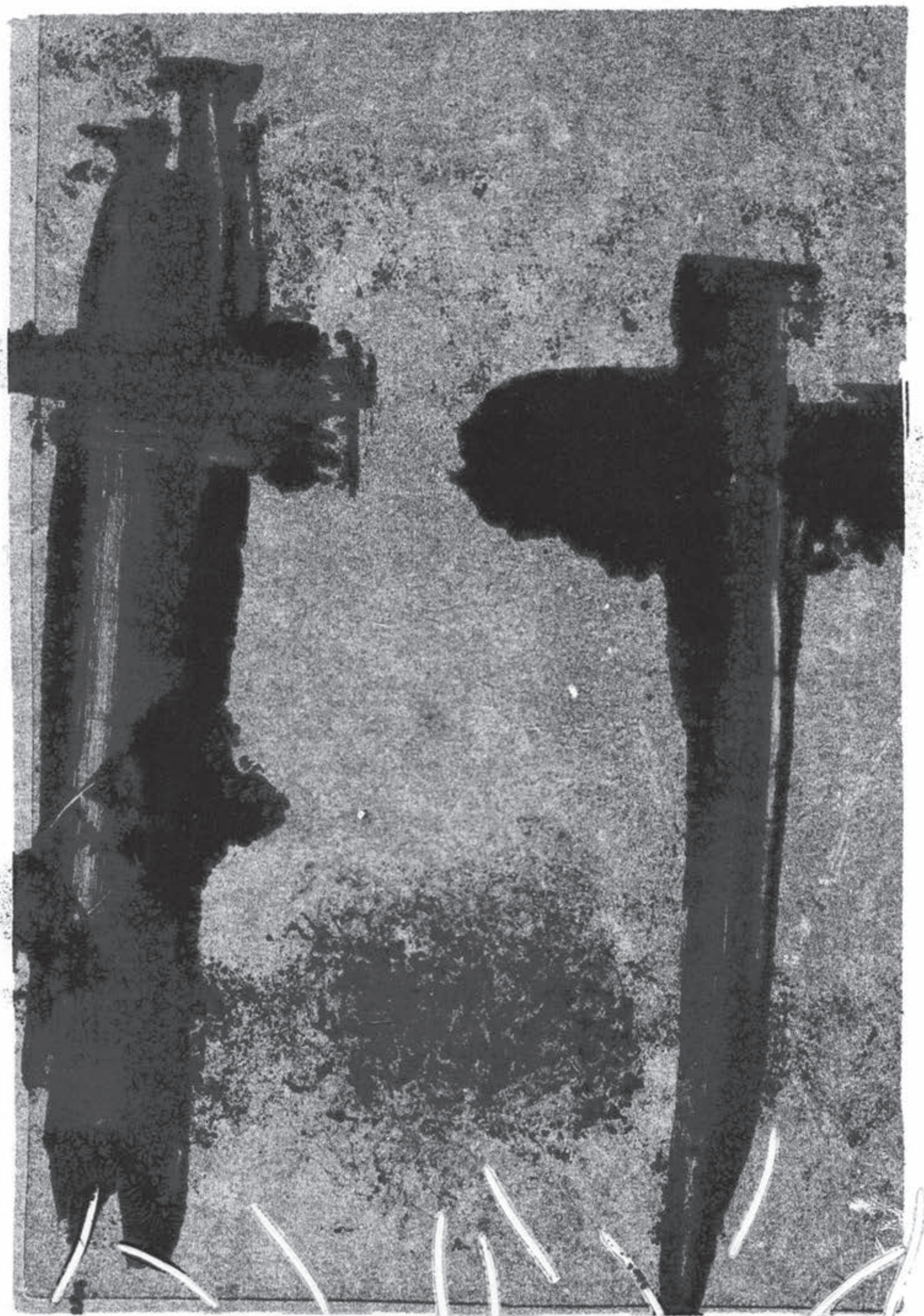
Kudak

Cicha ŭ vianok platucca arešnik, vałoški, ramonki.
Kasačy załatyja hałovy pałoščuć u pramieńni.
Karań duba źviazvaje mocna hlebu rodnaj staronki.
Ptuška kranaje kryłom čało čałavieka ŭ maleńni.

Čuješ, jak kropla z cieła majho ŭ tvajo pieralivajecca, tčecca.
Tčecca chvilina ŭ losach tych, što stupajuć siudoju.
Zbavić ad bolu, tuhi inšy bolš i sum, što ŭzirajecca ŭ viečnaćś.
I nieviadoma, kali staniem my taksama vadoju.

Syn błyskawicy

Mojego ojca Jana poraziła błyskawica
w środku mokrego do głębi babcinego
posażnego lasu w Maruszce, pośród gryczanego pola.
Przebiła go aż do jądra ziemi, spowinowaciła z lawą,
z chramem zapadniętym w puszczy, dzwoniącym w symfonii
owadów, rozjarzyła, spaliła wszystkie grzechy rodu.
Na pazicyju dziewuszka praważała bajca –
to tylko mógł zaśpiewać z repertuaru łukszowskiej „orkiestry", cisowskiej,
Michałowej, co grała na weselach w podpuszczańskich wioskach
i miasteczkach. I ciągle szedł na wprost lasu, olśniony i bosy.
Od hałasu i tłumu, jazgotu i krzyku, rozkazu, nakazu,
towarzysz drzew i ulew, wiewiórek i ptaków.
Gdy powietrza zabrakło, w hajnowskim szpitalu
wytchnął tylko: „Dychać ciażko, Mira..."
i odszedł, młody, na wschód, do drzew co tlen dają.



Odłamek

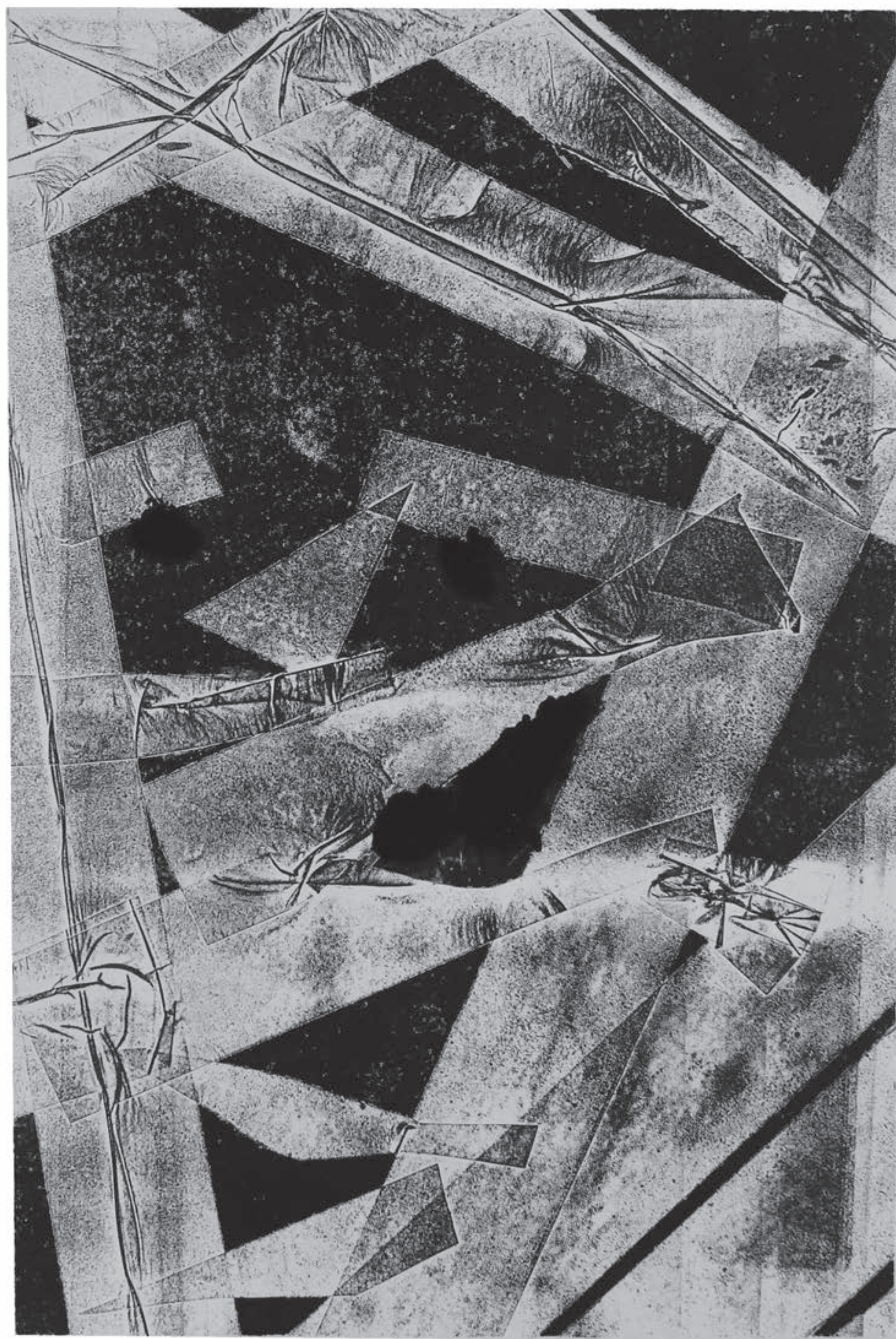
Zinie, siostrze Niny coraz ciężej
się zginać, po tysiącach kilometrów
na polu, na łące, w lesie. Chodzi teraz
po Białymstoku, „wolna wreszcie", emerytka,
od ćwierci wieku, z wózeczkiem na kółkach,
bo jak ręce złożysz, pókiś żywy?
Wszystko widzi, przez okulary, całkiem nowomodne,
słyszy przez cienkie mury bloku z szarej płyty.
Wychowała czworo, więc ma kartę dużej rodziny,
dużo nie gotuje i nie je, bo została sama,
częstuje ptaki pod blokiem – zlatują się
na jej widok, nawet gdy kaptur naciągnie na twarz.
Bolą nogi i ręce, a co mają nie boleć, kiedy człowiek
żywy, a odrobił je całkiem na swoim i nieswoim.
„Była pani na wojnie? – pyta ortopeda. – Ma pani
odłamek bojowy w piszczelu." – „Byłam, bo jestem
z trzydziestego dziewiątego roku. Jeszcze raz w tamtym wieku
spalono naszą wieś, byłam w Puszczy, pamiętam
rannego partyzanta, krew sączyła się mu z głowy.
Byłam na wojnie. Takich odłamków jest więcej".

Lustro

Lustro z białą palmową gałązką
w prawym dolnym rogu, głębokie
i wysokie ponad mój wzrost, pokazywało
drugi koniec pokoju i szmaciany chodniczek,
po nim wschodziło słońce w niedzielne poranki.
Dziadek na pasku ostrzył brzytwę, z połyskiem
jak błyskawica, przecinającą pamięć,
w smudze złotego pyłu od okna sypialni
o trzech szybach, czterech stronach, sześciu snach.
Najdłuższy jest sen babci, obcy dom, lustrzane odbicie
w Wołdze, kromka białego chleba dla brata,
wyproszona u dobrych ludzi, sól jak łza,
dziczka na między, częstująca sieroty gruszką,
obdarta wiatrami, opalona dymem ciał.
Siostro, jabłoni, czy widziałaś dzikie gęsi,
co uniosły mego brata, ojca, dziadka do baśni.
Do snu śnionego pięciokroć? Nie zaśnij!
Znów obudź się, spójrz w lustro, sięgasz
już w pamięć po piersi. A z lustra
patrzą oczodoły, wykopane w życie.
W życiu. Bruzdą idą dziewczynki
przewiązane przewrósłami, do wrót
stodół, gdzie jest nasycony słońcem plon.
Stary dom. Stary sad. Księga otwarta
na siódmej stronie.

Chmura

Naszych stóp dotykają gałęzie
czułych drzew, biegniemy
na przełaj przez poletka chmur,
zwieszamy nogi nad domami,
nawet wieżowce, co wyrosły
po wyrwach od korzeni,
nie połaskoczą naszych pięt.
O, metafora, wołasz
ze śmiechem na wypiętrzone
czyjeś ego podbite chmurą
gradową. Nasze dłonie
dotykają się pierwszy raz
pod chmurą-stołem,
jak tysiąc lat emu.
Informacja w kroplach,
bitach, milach, miłościach
łączy nas z glebą
i niebem.



Gniazdo

uwij tu gniazdo
z moich włosów i myśli
wróbelku mych snów

Sarna

nie dogonię dziś
sarny z mojego lasu
z ciepłej pamięci

Zające

zajęcza matka
babcia cioteczka siostra
nakarmią dziecko

Żubr

przyszedł do Basi
w Siemianówce stary żubr
już go zabili

Jaskier

cała jaskrawość
zaotawionej łąki
prowadzi do łez

Żołty kosaciec

posadziłam go
nad naszym sztucznym stawem
nie chciał się przyjąć

Żabka

zielona żabka
cicho siedziała w dłoniach
drżało mi serce

Płot

chylił się na wschód
w ostrożenich i ostach
nasze sztachety

Wierzba

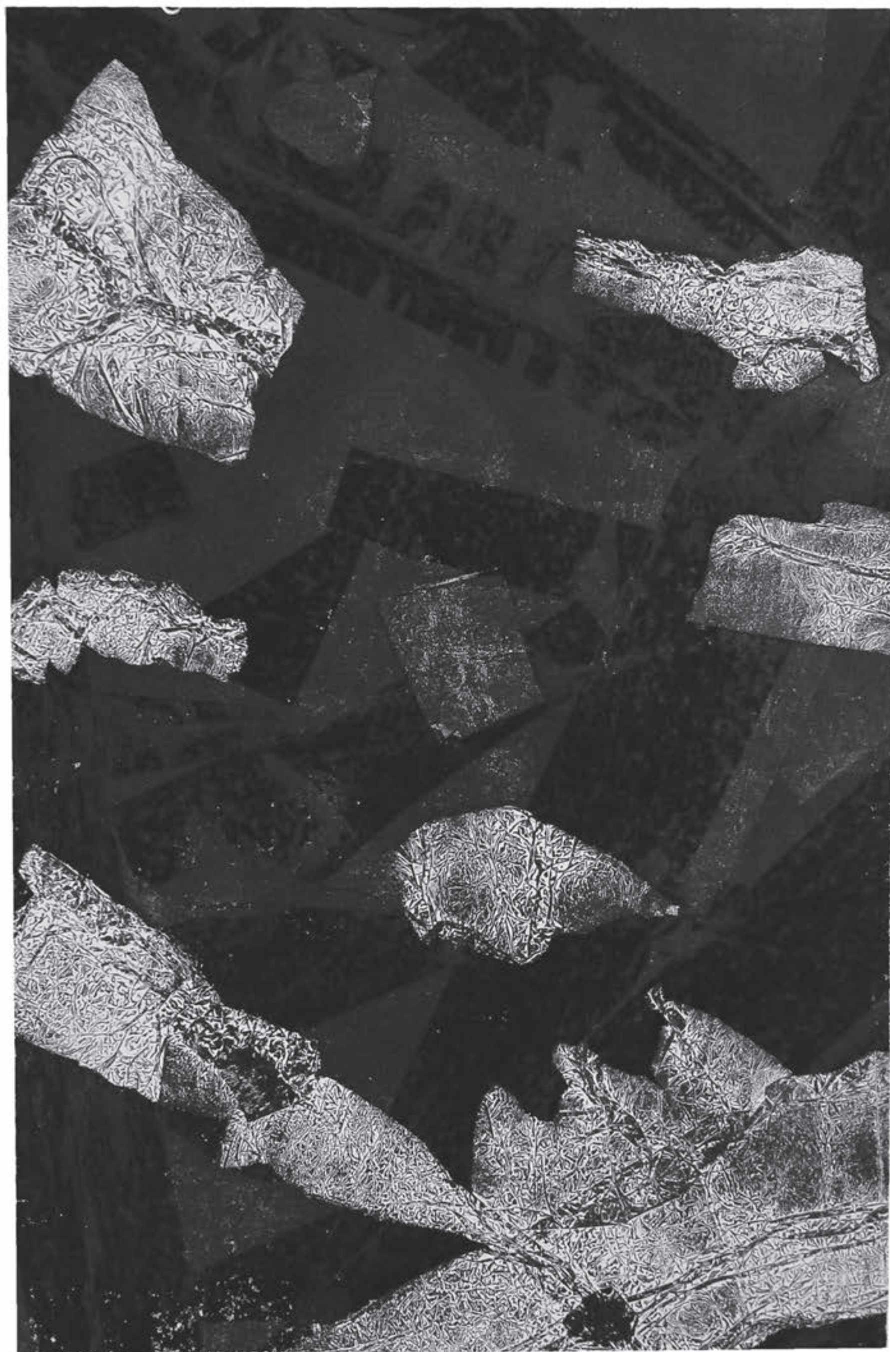
idąc ze szkoły
mijałam starą wierzbę
żyje tam samo

Kit

wydłubywałam
z naszych drewnianych okien
skamieniały kit

Strych

Czekałam ciebie na naszym strychu,
w różowo-złotych okach w deskach,
w okienku w szczycie wyglądałam ciebie,
a ty chodziłeś jeszcze na południu lasu, śpiewając jak wilga,
ćwierkając do mojego wiecznego ucha, o płatku
z dziewannny, jaskra czy wiesiołka.
Wianki złotej cebuli, połcie kumpiaków,
wędzonej słoniny, złote trociny, zapisane zeszyty
literami pierwszy raz o życiu pod lasem,
pod dachem, pod ręką pomarszczoną tego,
co budował ten dom na kamieniach, kładł
ściany i krokwie. Rychtował strych, aby spojrzeć
zeń pod puszczę i pomyśleć w ciszy,
pełnej szeptów, podszeptów, szumów i poruszeń
fal nabrzmiałym pamięcią, miłością
i śmiechem wymyślonych, zmyślonych, zamyślonych dzieci.



Kamień

Kamień leży obok drogi z Pasiek do Borowych.
Coraz bardziej nie widzi wiosek, widomy w stuleciach.
Narzutowy. Nie narzuca się nikomu, nie wymaga uwagi.
Zawsze kamen jak skon, wiara, niebo, wiatr... atr.
Widzi, niebaczny. Chcieli go zepchnąć do towarzyszy,
aby utworzył krąg. Krąg, jak koło, został wydumany
przez nowych myślicieli naszego wieku:
oto mamy obiekt starożytny w naszej gminie,
kamienny krąg, a koński cmentarz, zwany tak mylnie
przez miejscowych, sięgnijmy pamięcią, jest stonehenge
tutejszym, naszym, proszę państwa rzucić okiem –
jakże pięknie tu u nas, proszę zatrzymać swe auto,
i odetchnąć zielonymi płucami Polski.
Słuchajcie, nabierajcie siły w jeszcze jednym miejscu mocy.
Przyjezdni patrzą, poklepują kamień po barach,
pstrykają z telefonów na jego granitową twarz
z mchami oczu, liszajami uszu. Miejsce mocy,
jak każde inne pośród kamieni, żwiru, ciał i oddechów
tych co szli, stali, biegli, idą, stoją, biegną,
lecą, pełzną, toczą się, wychodzą spod ziemi i rosną.

Mak

taka zasucha
siejemy mak do studni
na rzęsisty deszcz

Sen

sen w dzięcielinie
w odrynie za stawami
uleciał w chmury

Chram

cerkiew w puszczy brzmi
w snach starej Walentyny
zapadła się w noc

Wiktor

mech maluje mu
pozostawiony na noc
obraz tajemny

Mikołaj

szukam was wszędzie
baciuszko Mikołaju
wasza twarz w chmurze

Dworzec

Dworzec w Hajnówce prowadził do domu,
wyrywał w smudze wiatru w nieznany świat.
Mamusiu, on ucieknie! – ciągnęłam mamę,
z samolocikiem w garści, biegnąc ze szpitala.
Mijałyśmy długi zagonek z nagietkami.
Wokół chodzili ludzie większi ode mnie i mojej mamy,
i wpatrywali się w dal, w swoje fatamorgany,
wlokąc torby, walizy, sakwojaże, wory.
Na dworcu pracowała bufetowa z koronkowym
wiankiem na włosach, pachniała piwem i być może,
bufetowa-dama kier miała tylko tułów,
odbity jak na karcie na błyszczącej ladzie.
Spluwaczki po kątach, papiery pachnące kiełbasą
wystające z zawalonych koszy. W taki papier mamie
bufetowa zawinęła gościniec od zajączka dla mojego brata.
Myślałam, że zajączek mieszka w lesie, a nie w mieście,
i tylko naszemu tacie daje podarunki z puszczy,
aby przyniósł nam najsmaczniejszy zajęczy chleb,
pachnący słoninką, wiatrem i żywicą świerku...
Biegłyśmy do pociągu. Lokomotywa buchnęła parą,
zagwizdała... A teraz już nie jadą pociągi do Cisówki.

Bracia

Moja ojczyzna – kropla spływająca z liścia na ziemię,
soczewka pełna tęczy, szkło powiększające rosy,
posłanka z chmur na ziemię, z której znów powróci.
Nasza ojczyzna maleńka, z wielu ojczyzn i matczyzn
każdego dnia który minął w czasie każdego z nas,
kto był, jest, będzie. Nasze mowy nie umrą, nasze litery
nie zwietrzeją, nasz głos rozbudzi żywe echo,
ich powiew i dotyk – z równoległych światów.
Jerzy, Wacłaŭ, Tadas, Józef, Czesław, Andrzej...
Julianna, Emilia, Wiera, Eliza, Maryla...
Miško žmonių
Lasnyja ludzi
Leśni ludzie
Arbaraj homoj
ןשטנעמ דלאַוו
Belorusa nacieco, Litova spirito, Pola ŝtato.
Fratoj kaj fratinoj de la elektita popolo.

Spis treści